

Blåtinden (621 m n.p.m.)





Stopa wyjechała na śliskim kamieniu i dało się usłyszeć trzask.

– DZIKUUU!!!

Słyszając wołanie mam nikłą nadzieję, że Aga pomyliła drogę.
Aga słyszając trzask ma nikłą nadzieję, że to pękła gałązka pod stopą.

Natychmiast zawracam i gdy dobiegam do partnerki oboje nie mamy wątpliwości, że sprawa jest poważna. Kostka w lewej stopie puchnie w oczach.

To był ostatni kamień przy poziomych, równych deskach wzdłuż jeziora. Dalej czekał nas przyjemny, miękki teren schodzący do krótkiego odcinka asfaltu prowadzącego na kemping.

W tym miejscu zdradzę odkrywczą myśl i naukę z tego wyjazdu: **bieganie po górach to nie to samo co bieganie po lesie. TA-DAM!**

Przygoda na Lofotach dopiero się rozpoczynała, gdyż na Blåtinden wybraliśmy się dosłownie w dzień przyjazdu na miejsce. A właściwie nie w dzień, tylko w nocy. Ten szybki wypad trwał zaledwie dwie godziny, ale wart jest upamiętnienia.

Gdy rozpakowaliśmy się w domku w Svolvær spojrzałem za okno i zobaczyłem piękny, skalny wierzchołek – Blåtinden. Pomimo sporej wybitności szczyt dostępny jest spokojnym tempem w zaledwie dwie godziny. Widoki z niego są bajeczne, co mam nadzieję chociaż odrobinę oddają zdjęcia.

Ale od początku:

Ruszamy we dwoje z Agą z kempingu około godziny 22:00. Na szczyt zamierzaliśmy truchtać, jednak nachylenie i trudności terenu powodują, że jest to na wół bieg, na wół marsz. Droga prowadzi przez chwilę asfaltem, po czym w oznaczonym tabliczką miejscu skręca w las. Stromą leśną ścieżką docieramy do jeziora, którego brzegiem docieramy do stromego szlaku pod górę, a ten prowadzi nas aż do przełęczy. Tu mamy wybór: w lewo możemy udać się na nieco niższą Tuvę, a w prawo na główny i najwyższy wierzchołek grupy – Blåtinden. Wybieramy ten drugi. Po strawersowaniu jego zboczy przechodzimy na drugą stronę grani i wspinamy się krótką i łatwą ścianką na główny wierzchołek, na którym stajemy tuż przed godziną 23-cią. Widoki są bajeczne i cały wyjazd zapowiada się jako świetna przygoda.

Zejsć można na kilka różnych sposobów, my jednak na powrót wybraliśmy naszą drogę wejścia. Niestety na powrocie, tuż przed łatwiejszym terenem Aga doznaje kontuzji i nie jest w stanie samodzielnie iść. Uczepiona do mojego ramienia przesuwa się po trochu do przodu. Gdyby wypadek miał miejsce wyżej – mogłoby się skończyć wezwaniem helikoptera. Tu, w terenie mniej nachylonym biorę jednak pod uwagę nawet to, że będę ją niósł na plecach.

Jednym nie musimy się przejmować – zmrokiem, gdyż na tej szerokości geograficznej zachód słońca łączy się ze wschodem. Stąd zresztą pomysł by nocą udać się na szczyt.

Do domku docieramy równo o północy. Aga szuka informacji o skutkach tego typu kontuzji i szybko daje sobie spokój, bo artykuły są prześiknięte dramatyzmem. Z rysującym się obrazem Agi zanurzonej po szyję w gipsie kładziemy się spać.

Na drugi dzień w szpitalu:

Aga uśmiechnięta i jakby poruszająca się żwawiej wychodzi z gabinetu lekarza. Wizyta w norweskim szpitalu różniła się mocno od tego, czego się spodziewaliśmy. W końcu jesteśmy w krainie Wikingów, gdzie nikt się skręczeniami i pękniętymi torebkami stawowymi nie przejmuje. Zamiast prześwietlenia, ortezy, czy nawet gipsu Pani doktor obmacuje i ogląda stopę oraz formułuje zalecenie: **ROZCHODZIĆ**.

Jeszcze tego samego dnia Aga z fioletową i spuchniętą stopą idzie w góry, podobnie zresztą jak każdego kolejnego dnia. Bez biegania, lecz spokojnym tempem. Niewątpliwą zaletą tej sytuacji jest to, że staje się ona świetnym kompanem dla towarzyszącym nam na trekkingach dzieci. Jednym słowem – wszyscy zadowoleni. A noga – tak jak lekarz przewidział – ani pęknięta, ani złamana nie jest. Po tygodniu powróciły normalne kolory, a opuchlizna też w końcu zejdzie.

A czego się nie da rozchodzić to zawsze można spróbować rozbiegać...

Dziękuję Dawid Rutkowski & Klub Wysokogórski w Lubinie za inspirację (po górach można biegać!).

Agnieszka Kruk za dotrzymanie tempa i zdjęcia.

Rafał Czech za perfekcyjną organizację wyjazdu.

Dziku'lipiec 2023